NASZA MYŚL

1935
maj - czerwiec
Nr. 3.



SZERZY KULT
BRATA ALBERTA

OMAWIA ZAGADNIENIA
ZWIĄZANE Z IDEOLOGJĄ
DZIEŁA BRATA ALBERTA

PRZYNOSI WIADOMOŚCI Z
DOMÓW ALBERTYŃSKICH

Kraków, ul. Kościuszki 86.
Telefon Nr. 132-48.

CENA 30 GR.

„NASZA MYŚL" dwumiesięcznik albertyński

wychodzi w Krakowie, ul. Tadeusza Kościuszki l. 86.

P. T. Dobrodziejom i Przyjaciołom



Zgromadzenia i jego Zakładów, oraz wszystkim Czytelnikom „Naszej Myśli" z okazji Świąt Zmartwychwstania Pańskiego zasyłają najszczersze życzenia

„Wesołego Alleluja"!

Bracia Albertyni
Redakcja „Naszej Myśli"
Redakcja Kalendarza Br. A.

Treść zeszytu:

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.

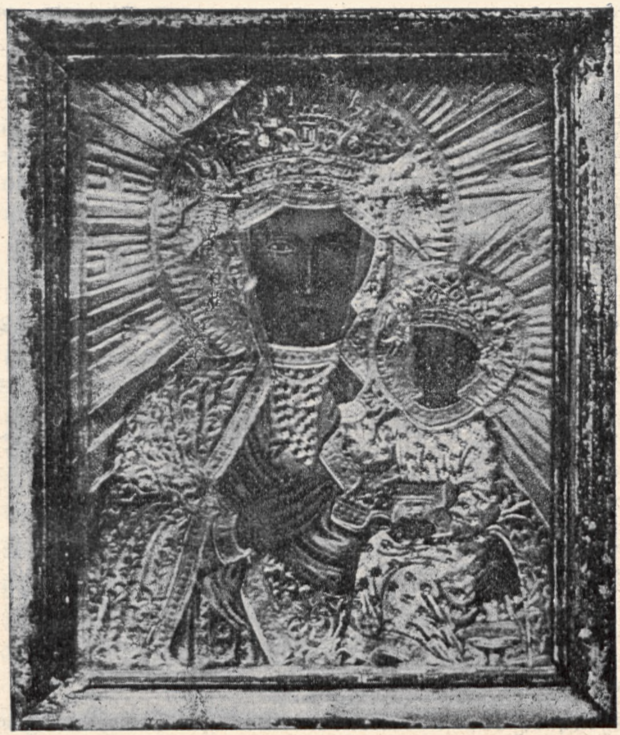
Wydawca: Brat Wincenty, Albertyn.

Za redakcję: Br. Viator

Za administrację: Figiel Władysław

Drukarnia „Róż św. Teresy" Kraków, Dolnych Młynów 3.

NASZA MYŚL



Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej czczony przez Br. Alberta.

SKARBCZYK MYŚLI.

. . . „Niech żaden nędzarz nie odchodzi z próżną ręką od tercjarskiego progu" . . .

*
* *

. . . „Nie mogą miłosierni nie dostąpić Miłosierdzia".

BRAT ALBERT.

Choćbym miał miljony, tak zawsze będzie.

Wspomnienia *O. Ireneusza* o Bracie Albercie.

Do najważniejszych czynności Komitetu Propagandy Beatyfikacji Brata Alberta należy bezwątpienia skrzętne gromadzenie wszelkich głosów o Jego życiu i działalności, jako materjału beatyfikacyjnego. Jedną zaś z najpilniejszych jest sprawa zbierania wspomnień od żyjących jeszcze świadków życia Brata Alberta, nieraz bardzo bliskich i serdecznych jego przyjaciół, których już wnet może przecież zabraknąć.

Doceniając też ważność tej akcji Ks. Postulator St. Król, jako przewodniczący Komitetu zwrócił się z prośbą o spisanie wspomnień do O. Ireneusza, kameduły, przebywającego obecnie stale w Camaldoli obok Rzymu, a który poznał Brata Alberta podczas jego pobytu w eremie kamedulskim na Bielanach pod Krakowem. W odpowiedzi na to zaproszenie Czcigodny O. Jubilat Ireneusz przy pomocy Polaka O. Alojzego Poprawy, zdołał odtworzyć w pamięci wspomnienia z dawnych lat i przesłać je „jako votum do wspólnej urny powszechnego uznania cnót heroicznych wielkiego, naszego Rodaka".

Ciekawy ten dokument zamieszczamy poniżej w dosłownem jego brzmieniu — w przekonaniu, że drukowanie podobnych głosów jest wskazanem z wielu zasadniczych względów, jak również i dlatego, że stać się może bodźcem do snucia dalszego wątka wspomnień z życia Brata Alberta. REDAKCJA.

Uważam sobie za wielki zaszczyt, że mogę kilka słów informacyjnych, odnośnie do osoby świątobliwego Brata Alberta skreślić i przesłać, jako wotum do wspólnej urny powszechnego uznania cnót heroicznych tego wielkiego naszego Rodaka.

Czynię to zaś w imieniu naszego Czcigodnego Jubilata, O. Ireneusza, który najchętnej spełniłby osobiście życzenie Ks. Postulatora, lecz „senectus venerabilis et diuturna", bo 83 lat przekroczonych, a nadewszystko zupełne osłabienie wzroku nie pozwala mu na to.

Wspomniany tedy O. Jubilat opowiada, że Br. Alberta poznał osobiście na Bielanach, gdzie tenże z rozkoszą spędzał wolne od zajęć chwile, i gdzie lubiał urządzać jużto sam, jużto w towarzystwie wycieczki.

Już wtedy idea przyszłej fundacji nietylko dobrze zakiełkowała, ale nawet korzenie głęboko w jego sercu zapuściła, o czem można wnioskować z jego opowiadań i wynu-

rzeń przed O. Ireneuszem. Pierwsze ich spotkanie nastąpiło w kościele po Komplecie. Idąc do chóru O. Ireneusz spostrzegł jakiegoś obcego, siedzącego w ławce w kościele i malującego. Wyznaje szczerze, że taka śmiałość świeckiej osoby zrobiła na nim raczej ujemne wrażenie, które jednak wkrótce uległo wielkiej zmianie. Po skończonej Komplecie w chórze, O. Ireneusz jako zakrystjan, do którego należy troska o porządek w kościele, zbliżył się do Brata Alberta i zaproponował mu, żeby poczekał, aż się Bracia zbiorą przed wielki ołtarz, a wtedy obraz piękniej wypadnie; Brat Albert jednak tłumaczył się, że taka swoboda naturalna: Ojcowie w chórze a Bracia tu i ówdzie modlący się w klęcznikach, w bocznych kaplicach lub w ławkach na kościele, jedna świeczka przed wielkim ołtarzem, lepiej go nastrajała i więcej mu się podobała.

Przy tej okazji nawiązują między sobą stosunek przyjacielski i coraz częściej będą się spotykać; tem bardziej, że Brat Albert uzyskał pozwolenie od przeora OO. Kamedułów na dłuższy okres pobytu w eremie. Niestety O. Ireneusz nie pamięta, w której celi gościnnej zamieszkał Brat Albert.

Przy jednej z wizyt w ogródku O. Ireneusza, opowiadał Br. Albert o warunkach jakie znajdywał w miejskiej ogrzewalni, do której często zachodził i starał się pozyskać serca zapomnianych przez społeczeństwo różnego typu indywiduów. Mówił, jak starał się z niemi współczuć, pocieszać smutnych, ratować w nędzy i niedostatku, zbierać dla nich pożywienie i odzienie . . Już wtedy nosił habit, podobnie jak obecnie Bracia Albertyni, ale nieco innego koloru. W duchu umartwienia wstrzymuje się od palenia papierosów, usiłuje sobie także odmówić herbaty, lecz wyznaje wobec O. Ireneusza, że to mu się nie udało. Spędzając długie wieczory wśród zebranych w ogrzewalni, czyta im zajmujące opisy, opowiada zdarzenia, uczy katechizmu. Zdarzało się, że niektóry z obecnych, niepokojony przez robactwo, zdjął — często zmoczone odzienie — i żeby je wysuszyć, powiesił nad piecem. Wtedy co chwilka dawało się słyszeć, jakby krople wody, opadające na rozpaloną blachę, smażącego się robactwa syczenie.

Po opuszczeniu eremu udaje się do Lwowa w celu otwarcia tam nowej placówki. Na miejscu swem zostawia su-

perjorem jakiegoś eks-kamedułę, który w tym czasie wraz z innymi towarzyszami odwiedza O. Ireneusza. Widocznie wbrew woli Brata Alberta włożyli sobie na wzór biskupów na piersi krzyże, bo gdy tenże powrócił ze Lwowa i dowiedział się o tem od O. Ireneusza, nakazał im, żeby tylko przy różańcu u pasa nosili te krzyże. Wzór na płaszcz wziął od OO. Kamedułów. Na uwagi O. Ireneusza, że w początkach będą trudności i braki, później jednak wszystko się ułoży lepiej i wygodniej będzie, odpowiedział: „choćbym miał miljony, tak zawsze będzie".

Kochał się bardzo w prostocie i lubiał wszystko naturalne. Dlatego też pewnego razu maluje celkę raczej O. Ireneusza, a nie innego Ojca, mimo zachęty wspomnianego, bo tamta więcej sztucznie była urządzona.

Jednem słowem, O. Ireneusz, który właściwie teraz dopiero usłyszawszy czytanie życiorysu, streszczonego w „Posłańcu Serca Jezusowego", poznał osobistość Brata Alberta, sam bowiem nigdy o swem pochodzeniu nic mu nie powiedział, już wtedy nabrał przekonania, że musiał to być duch wielki, niepospolity miłośnik ideału miłosierdzia chrześcijańskiego, asceta i organizator instytutu charytatywnego.

Oto maleńka wiązka wspomnień, zachowanych dotąd w pamięci czcigodnego O. Ireneusza odnośnie osoby świątobliwego Br. Alberta. Prawdziwość ich stwierdza własnoręcznie

O. Ireneusz, Kameduła.

Dałby to Bóg, żeby prędko cnoty tego naszego rodaka zostały uznane przez Stolicę Apostolską, a skroń jego otoczona aureolą świętych, żeby pomnożył szeregi naszych Patronów w niebie. Przy tej okazji ośmielę się załączyć dla Najprzewielebniejszego Ks. Postulatora wyrazy najgłębszego szacunku i powinnej czci

oddany w Chrystusie
O. Alojzy Marja Poprawa
Kameduła

Camaldoli-Frascatti-Roma.

Prof. Rudolf Hajnos.

ŚW. FRANCISZEK A BR. ALBERT
w dobie obecnej.

Niejednokrotnie może mieliśmy sposobność rankiem w porze wiosennej stanąć nad łąką — bujnem zasłaną kwieciem. Podziwialiśmy wtedy wielką i cudowną różnorodność barw. Piękno tej łąki potęgowały perełki rosy, w których mieniły się tęczowe kolory. Myśl nasza mimowoli szukała wówczas źródła tego piękna, odnajdując je najpierw w Bogu jako Twórcy królestwa przyrody i w słońcu, którego światłu danem jest budzić i rozwijać tę cudną grę barw. Jakże też często widzimy te przepiękne światła barwne na szlifowanych szkiełkach u wiszących świeczników w kościele, gdy padnie na nie promień słoneczny. Fizyka uczy nas, że te światła barwne, których jest tak dużo, że żaden język niezna nazw dla wszystkich odcieni, powstają z rozszczepienia się białego światła słonecznego. Podkreśla jednak, że warunkiem tego rozszczepienia jest załamanie się promienia świetlnego w przedmiocie przeźroczystym o ścianach nierównoległych, jak to widzimy u kropel rosy lub trójkątnych szlifowanych szkiełek świeczników. Przedmioty te, to pryzmaty. Zatem przez pryzmat a nie przez zwykłą szybę musi przejść promień światła słonecznego, aby tęczowemi barwami bawić i nasycać nasz wzrok.

A teraz z fragmentu pięknego królestwa przyrody przenieśmy się myślą do królestwa ducha. Najpierw spytajmy gdzie król tego królestwa? Odpowiedź znajdziemy, gdy myślą naszą sięgniemy 1900 lat wstecz t. j. do chwili, gdy w domu w Piłata i na górze Kalwarji rozegrała się tragedja, decydująca o odkupieniu świata. Przed Piłatem stał sponiewierany i oskarżony przez Żydów Chrystus. Zapytany: „Tyś jest królem żydowskim“ — Chrystus odpowiedział: „Królestwo moje nie jest z tego świata. Gdyby z tego świata było, słudzy moi pewnieby walczyli, aby mnie Judejczykom nie wydano. Lecz królestwo moje nie jest stąd“. Chrystus w świecie dusz, jak słońce jest królem w świecie światła. Promienie Jego boskiej doskonałości padają jak promień słoneczny — na dusze, w których — rozszczepiają się i lśnią w naszych oczach

nieskończenie różnemi odcieniami. Wówczas takie dusze opowiadają, objaśniają i rozwijają niezmiernie bogactwo doskonałości Chrystusa Na tej wielkiej niwie, jaką jest Kościół od założenia go przez Chrystusa do dziś, zjawiały się i zjawiają dusze święte, te nadprzyrodzone pryzmaty, w których rozszczepia się boska doskonałość Chrystusa, by rozkwitnąć w naszych oczach nieskończenie różnemi odcieniami.

Jak wiemy pryzmat, to rzecz o nierównoległych ścianach. W znaczeniu duchowem, nierównoległość stanowi to, co się sprzeciwia naszemu życiu, naszym naturalnym skłonnościom.

Bo czemże jest życie ?

Życie człowieka jest życzeniem, szczęściem, namiętnością i czemś, co naraz to wszystko krzyżuje. Każdy człowiek pragnie, aby w jego życiu było jak najwięcej linij równoległych, aby nie było nic takiego, coby jego dążnościom w poprzek stanęło, aby jego planów i zamiarów nie krzyżowało. Gdy takie skrzyżowanie nastąpi, stacza walkę. Jeżeli w tej walce zachowa się tak — jakby się zachował Chrystus, gdyby się znalazł tam, gdzie on jest i czem jest, wówczas u takiego człowieka rozszczepia się promień doskonałości Chrystusa i taki człowiek staje się doskonałym naśladowcą Chrystusa.

Człowiek naśladując Chrystusa nie będzie odtwarzał jedynie materjalnie Jego uczynków i nie będzie odbijał jedynie oblicza Chrystusowego, jak w zwierciadle, lecz tak działał, aby jego czyny mogły mieć cechy działania Chrystusowego.

Z pośród licznych Świętych i ludzi, którzy w mniemaniu świętości zeszli z tego świata — wybieramy dzisiaj dwóch, którzy okazali się doskonałymi naśladowcami Chrystusa, a jako nadprzyrodzone pryzmaty zajaśnieli odcieniami doskonałości Chrystusowych.

Są to: św. Franciszek z Assyżu, który żył w początkach XIII w. i Brat Albert, w życiu świeckiem inżynier, art. malarz, Adam Chmielowski, który zmarł w Krakowie 1916 r.

Postacie te, ich życie, to barwy z rozszczepionego promienia życia Chrystusowego. Ich czyny — jakkolwiek są czynami oryginalnemi — ich własnemi, noszą na sobie cechy życia Chrystusowego — mają coś Chrystusowego, świętego. Są oni naśladowcami Chrystusa nietylko w znaczeniu materjalnem,

lecz i w znaczeniu szerszem, twórczem tak, jak barwy tęczowe w kropli rosy są w szerszem znaczeniu, odbiciem promienia słonecznego.

Słuchając o czynach tych dwu wielkich ludzi, wyobraźnia nasza zapewne nastawia się na objęcie rzeczy wielkich — bo pojęcie świętości i wielkości czynu u ogółu pokrywa się do pewnego stopnia z pojęciem bohaterstwa, lubi się łączyć tylko to, co jest wybitnie wielkie i widoczne, a rzadko łączy się z tem pojęciem też to, co pozornie drobne, małe i nierzucające się w oczy, a z czem można się spotkać w szarem życiu codziennem niemal na każdym kroku. Co więcej — pragnie się świętego, jako nadzwyczajną osobę zobaczyć.



Mal. M. Janoszanka.

Św. Franciszek.

O poglądzie św. Franciszka na wielkość i świętość czynu, dowiadujemy się z jego rozmowy na ten temat z Bratem Leonem. W rozmowie tej uzasadniał, że prawdziwa i doskonała radość nie płynie ani z przykładnej bogobojności i cnotliwości, daru cudownego uzdrowiania ślepych, głuchych i kalek, ani z daru proroctwa lub czytania tajemnic sumień ludzkich, a wreszcie ani czynu tak wielkiego, jak nawrócenie całego świata pogańskiego na wiarę Chrystusową, — lecz radość doskonała płynie z czynów pozornie małych, jak zwyciężanie samego siebie, znoszenie trudów, hańby i obelgi dla miłości Chrystusa.

Na tę drogę zwyciężania samego siebie, wszedł św. Franciszek i jego naśladowca Brat Albert. Św. Franciszek, ten wytworny młodzieniec — pragnący sławy rycerz podczas walk z Niemcami o niepodległość miast włoskich — bogaty kupiec i miłośnik poezji i przywódca wesołej „złotej młodzieży“, zanim wszedł na drogę przemiany duchowej spotkał się z nędzarzami i trędowatymi, dla których nietylko okazał czułe i dobre serce — lecz poświęcił się na ich usługi, — a całując ich ręce przezwyciężył w sobie naturalny wstręt do tej choroby i chorych. — Spotkanie się z trędowatymi i służenie im było przełomową chwilą na drodze do świętości. Jak wielką wagę przykładał św. Franciszek do tej chwili, świadczą jego słowa wyrażone w testamencie. Brzmią one następująco: „Oto w jaki sposób Bóg mnie, bratu Franciszkowi, pozwolił rozpocząć czynienie pokuty, kiedy żyłem w grzechu, przykrą mi było rzeczą patrzeć na trędowatych. I oto Pan sam mię powiódł pomiędzy nich i czyniłem litość nad nimi...“

(c. d. n.)

Mędrzec grecki Plato powiedział: - Nie powinniśmy szemrać, jeżeli wiele wyroków Bożych nie inaczej, jak przez cierpienia nasze spełnionemi być mogą".

Ks. P. Folfasiński.

„Kto dla drugich nie żył, ten w pamięci ludzkiej nie będzie".

(Wacław Aleksander Maciejowski“).

Michalina Janoszanka.

Pieśń majowa.

Najświętsza Panno, której wiosna
Pod stopy śnieżne puchy ściele
Grusz i jabłonek świeżo rozkwitniętych,

Nasza królowo czczona przez historji
wieki,
Co jak Polska długa i szeroka
Wszędy zbudowane masz domostwa,

Ty, która ciemnem licem częstochow-
skiem.
Błogosławisz zawsze nad kolebką
dziecka
W chacie i w pałacu
I po pól bezkresie z pochyłej kapliczki,

Zostań z nami na zawsze!
Świat czasem pod naporem grzechu
się ugina
Od błyskawic nowych prądów ludzie
ślepi —

W pogoni za kęsem chleba, czy za
szczęścia złudą
Omamiają się grzechu blaskiem,
Depcząc szczere złoto własnych
sumień.

Lecz Ty, Matko litości zakryj święte
oczy
I nie patrz, gdy molochowi biją
czołem,
A tylko pożal się kiedy głodni
i nieświadomi.

Nie słuchaj, jeśli w pustej
bezmyślności
Bluźnią Stwórcy każdym czynem,
Nie obejmując myślą Jego pomysłów
cudu.

I patrz, gdy czasem zamiast serca
W piersiach kamień mają.

W miłości, którą Twoje serce dla
ludzkości
Przepełnione
Zapłacz nad niemi,
Bo ten kamień w piersi, to jest
brzemię
Straszne,

A i wargi czasem coś mówią
Wbrew intencjom ducha.

Człowiek słabem jest stworzeniem
I tak łatwo słucha głosu,
Który źle mu radzi.

Z wysoko, z nad obłoków władztwa,
W majowy wieczór
Racz zaglądnąć ucieczko nasza
Do kościołów,
Kędy lud Cię chwali pieśnią
i pacierzem —

I rozraduj się cała.

Gdzież na świecie tak miłośnie
w Twoje lica patrzą
Jak w dominikańskiej świątyni?

Gdzież gorętszą sławią Cię modlitwą
Jak w marjackim tumie?

Gdzież szczytniej Ci śpiewają,
Jak w świętego Norberta kościółku?

Gdzież kapliczki Twoje umają
rączki dziecka
Wianuszkami z mlecza i stokrotek?
Bardziej z miłością,
Gdzież na głos dzwonu pochylają się
korniej głowy
Tobie we wspominku?

Ave Marja!

To jest Polska . . . .

Ten łan pszenny ścielący się złotem,
I choć kąkol zawsze chętnie się
rozplenia,

Popatrz Matko Boża oczami dobremi
Jak to morze kłosów hymn Ci szumi
Pokłonny

I jak mała garstka jest nasienia
złego.

Zejdź ku nam, kiedy maj płatkami
drzew rozkwitłych prószy

Liljowe rączki podnieś ponad nami
I zaszczep we wszystkie serca:
Wielką radość sumień ciszy,
Która rodzi się z dobrej woli
i miłości —

Niech Najświętsze serce Twe usłyszy
Ten głos z ziemi!

Wacław Dutkiewicz.

Miłość i poświęcenie ewangeliczne

Brata Alberta.

Kiedy przeglądamy kartki życiorysu Brata Alberta budzi się w nas jakaś nieprzeparta ciekawość poznania przedziwnego życia tego świątobliwego zakonnika. Bo czemże było ono, jak nieprzerwanem pasmem szukania dróg prawdy i dobra, nieustannego wypełniania najszczytniejszego przykazania miłości Boga i bliźniego, poświęcenia i udoskonalania się w niem! Gdzie je szuka? Nie w głęboko filozoficzno-teologicznych dziełach czy rozprawach, ale wprost w Ewangelji, Dziejach i Listach Apostolskich; tam je znajduje, wchłania w siebie, przenika i rozpala swe serce — staje się naśladowcą Chrystusa.

Jako malarz Brat Albert — daleki od poklasków i sławy — szuka zawsze piękna w otaczającej Go przyrodzie, jako niezmierzonego dzieła mądrości i miłości Bożej, z nich, tego odwiecznego źródła niezliczonych darów duchowych czerpie natchnienie, wzniosłą myśl i potęgę czynu. Obrazy jego, aczkolwiek nie liczne, o zdecydowanej treści religijnej, tchnące nietylko wybitnym realizmem, ale przedewszystkiem potężnym mistycyzmem, świadczą dobitnie o Jego niepospolitych zdolnościach malarskich, rokując Mu świetną przyszłość. Zwłaszcza obraz „Ecce Homo“ to perła wśród obrazów malowanych przez Brata Alberta . . . .

. . . .

Ale Brat Albert szuka czegoś więcej. Rozpalone bezgraniczną miłością dochodzącą do heroizmu Jego serce szuka wznioślejszego czynu, szuka — poświęcenia. B o m i ł o ś ć t o o f i a r a! Porzuca paletę i pendzel, zamyka się przed światem, wykreśla swe imię z żywych, a przywdziawszy szary, gruby habit żebraczy mnicha idzie w progi ogrzewalni miejskiej dla bezdomnych, z której więcej nie powraca.

Tu wśród straszliwej nędzy, głodu i budzącego wstręt zepsucia moralnego sieje Dobro swą miłością, łagodnością i pokorą ducha, — wnika w ich cierpienie fizyczne i moralne, wlewa w serca, pełne goryczy, rozpaczy i zobojętnienia na wszystko, co szlachetne i wzniosłe, nadzieję ratunku. Zamiast palety i pendzla ujmuje w swe dłonie kielnię i cegłę, zakłada kuchnię, by zziębnięte i zgłodniałe ich ciała rozgrzać i nasycić; naśladując ich nędzę idzie w miasto, kołata od drzwi do drzwi i żebrze o chleb i pożywienie dla tych nieszczęśliwych, bo głód i nędza — jak sam zawsze Brat Albert mawiał — to najkrótsza droga do upadku i występku.

Nie dziw przeto, że ta gorąca miłość bliźniego Brata Alberta przemienia karczemną norę ogrzewalni na jakiś zaciszny przytułęk nędzarzy, którzy dotąd, wkraczając ze śpiewem wulgarnych piosenek, teraz przestępują jego progi ciszej poważniej, a nawet w skupieniu.

Bo w tym przytułku dla bezdomnych rozpostarły skrzydła opiekuńcze m i ł o ś ć i p o ś w i ę c e n i e e w a n g e l i c z n e!

. . . .

A kiedy u schyłku życia, złożony ciężką chorobą patrzał Brat Albert ze swej ukochanej pustelni podtatrzańskiej na rozrastające się dzieło miłosierdzia Bożego, chyląc w głębokiej pokorze ubieloną wiekiem głowę, wołał w podzięce Stwórcy z psalmistą Pańskim:

„Cóż jest człowiek, iże nań pamiętasz”!

Wycinki prasowe.

K. A. P.

Prometeusz prawdy, dobra i piękna

Brat Albert — powstaniec, artysta i święty.

Odbyte onegdaj w Muzeum Przemysłowem Zebranie naukowe Tow. Miłośników hist. i zab. Krakowa stało się wielką manifestacją Krakowa ku czci Adama Chmielowskiego, znanego powszechnie pod imieniem Brata Alberta, jednego z największych i najbardziej zasłużonych mężów, jacy kiedykolwiek pod Wawelem żyli, który dla Krakowa, polskiego Rzymu — jak to zaznaczył w zagajeniu dr. Dobrzycki — słusznie stanowi jedną z największych chlub.

P. Marja Morstin-Górska wygłosiła odczyt o życiu i działalności ego, oparty na nieznanych dotąd materjałach. Całe życie Brata Alberta było niezmożonym wysiłkiem, podjętym dla zrealizowania w sobie najwyższych postulatów życia duchowego i przezwyciężenia wszystkiego, co mogło mu w tem być przeszkodą. Szukał wiekuiście drogi, na której mógł służyć Bogu, zmagając się przytem nietylko z mrokami swej ludzkiej natury, ale także z wyjątkowo ciężkiemi okolicznościami życia. Jako doskonały chrześcijanin umiał stale przetwarzać wrogi sobie los w dobroczynną Opatrzność, i z każdej nowej klęski wyprowadzać nowe zwycięstwo.

Był Adam Chmielowski synem ziemi krakowskiej, urodził się bowiem w Igołomji nad Wisłą w pow. miechowskim, jako syn starej rodziny szlacheckiej. Rodzice odumarli go we wczesnem dzieciństwie, wychowaniem zajęła się ciotka. Szkoły początkowe odbył w Warszawie, przez rok przebywał w szkole kadeckiej w Petersburgu, a następnie podjął studja w wyższej szkole rolniczo-leśnej w Puławach. Tutaj zastał go wybuch powstania 1863 r. Natychmiast wstąpił do oddziału Frankowskiego, a po rozbiciu tegoż uwięziony został przez Austrjaków w Ołomuńcu. — Zbiegłszy z więzienia, ponownie stanął na placu boju, walczył bowiem bohatersko w oddziale Chmielińskiego, aż wreszcie ciężko ranny, wpadł w niewolę. W szpitalu polowym amputowano mu strzaskaną nogę. Z nieopisanem męstwem znosił okrutne cierpienie, aż wreszcie podleczony dzięki zabiegom rodziny, udał się potajemnie zagranicę,

Przebywa kolejno w Paryżu i Gandawie, gdzie ukończył studja inżynierskie. Potem w Monachjum studjując malarstwo, poświęcił się z przedziwną energją poszukiwaniu dróg piękna. Działo się to około roku 1867. W toku studjów zaprzyjaźnił się z Chełmońskim, oboma Gierymskimi, Kurellą i Witkiewiczem. Ujawnił odrazu wysokie uzdolnienie malarskie. Pracował przytem usilnie nad rozwojem duchowym, dzieląc czas między pendzel i książkę. — Sztuka i literatura grecka wywarły na nim potężne wrażenie. Wnet jednak obudził się w nim gorący entuzjazm dla Böklina, którego wpływ widać w licznych pracach Chmielowskiego tych czasów. W poglądach na istotę i cele sztuki różni się od wielu współczesnych artystów, głosząc, iż sztuka nie jest sama dla siebie celem, lecz jedynie drogą podnoszenia duszy ku Bogu. Przebywa czasowo

w Krakowie, a po amnestji dla b. powstańców w Warszawie. Lata 1874 — 1879 są okresem najwyższego nasilenia twórczości malarskiej. Tworzy wtedy m. in. wsławiony przez Żeromskiego „Ogród miłości" sceny rodzajowe, portrety, krajobrazy (dwa u prof. Kostaneckiego w Krakowie, „Nastrój wieczorny" w muz. Barącza). W tym czasie wraz z Chełmońskim i Witkiewiczem przebył bliskie stosunki przyjaźni z Heleną Modrzejewską. Zatliły się w jego sercu iskry miłości ziemskiej, zagaszone jednak niweczącą dłonią losu. Tęsknotę i żałobę duszy przelewał odtąd pendzlem na płótno. Wykonał wtedy m. in. wielką kompozycję „Pogrzeb samobójcy", przejmującą do głębi melancholją i nastrojem rozpaczy. Aż oto jakiś młody desperat, wpatrzywszy się w ten obraz odebrał sobie życie. Chmielowski wtedy spalił ten obraz i wiele innych. Nurtujący w głębi duszy konflikt pomiędzy służbą dla sztuki a służbą Bożą wybucha w nim z niemałą siłą. Zwycięża postanowienie oddania się w całości służbie Bożej.

Zwycięsko przechodzi okres głębokich przemyśleń i zmagań nad samym sobą, i z tem większą energją podejmuje pochód ku wyżynom ducha. Św. Franciszek staje się dlań ideałem i wzorem. Tworzy gorliwie jak apostoł organizacje tercjarskie na Podolu, gdzie bawił w dobrach brata swego Stanisława. Wypędzony przez Rosjan, osiada w Krakowie i staje się rodzicem wielkiego dzieła miłości.

Zapoznaje się najpierw z przytułkami dla bezdomnych, włóczęgów i nędzarzy. Tu odnajduje swe nowe powołanie. Towarzyszami i braćmi jego stają się najubożsi i żebracy, kaleki, ludzie nizin, napiętnowani chorobami, nędzą i grzechem. Otwiera dla nich naoścież swe wielkie serce, przygarnia ich do piersi, ratuje, opatruje, ociera łzy, prowadzi ku odzyskaniu godności człowieczeństwa. Osobiście wyzbywa się wszystkiego co materjalne i ziemskie. Przywdziewa tercjarski habit zakonny i na własną prośbę otrzymuje od miasta opiekę nad przytułkami . . W krótkim czasie doprowadza je do porządku drogą nieustannych zabiegów i niestrudzenie gromadzonych jałmużń. Staje się zwolna najpopularniejszą postacią w Krakowie. Ci, którzy zrazu widzieli w nim dziwaka chylą wnet czoło przed nimbem świętości Poczynają się gromadzić wokół niego uczniowie i naśladowcy, przywdziewając te same szare habity, wyrzekają się wszelkich dóbr ziemskich, i podążają za „Bratem Starszym" szlakami ku najwyższym ideałom ducha.

Tak powstali Bracia Albertyni i Siostry Albertynki. W przytuliskach ich znajdował każdy schronienie, nocleg i wieczerzę. Nie wolno się go było pytać o nic, nawet o nazwisko; mógł to być złodziej lub zbieg z więzienia. „Lepiej, że choć przez tę noc nikogo nie zamorduje!" — mawiał Brat Albert o najbardziej podejrzanych pupilach. Wszyscy biedni Krakowa znali w tej epoce Brata Alberta, wszyscy choć przez krótki czas byli jego gośćmi. Pomnożyła się rychło liczba przytulisk, które poczęto zakładać w różnych innych miastach.

Wielka ofiara życia Brata Alberta dopełniła się w dniu Bożego Narodzenia 1916 r. Odszedł z pośród żywych, przepowiadając zmartwychwstanie Polski. Pozostanie na wieki niedościgłym wzorem wytrwałego pochodu ku ideałom dobra, piękna i prawdy.

W drugiej części zebrania Ks. Rektor dr. Konstanty Michalski wygłosił kilka głębokich uwag dotyczących wielkiej postaci Brata Alberta. Z płonącego ogniska miłości Bożej pochodzi w człowieku religijnym ta naczelna siła, która w nim nieustannie buduję strukturę jego świętej osobowości. Jedna jest miłość, lecz każdą jednostkę ludzką rwie inaczej do Boga jako do celu najgłębszych tęsknot. Brata Alberta rwała tak, jak niegdyś Platona i św. Franciszka z Assyżu, rwała go do Boga, jako do Piękna odwiecznego. Poprzez kosmos widział Poverello swego Stwórcę kiedy na jego cześć śpiewał swój hymn do słońca; nie w słowach, lecz w barwach śpiewał Brat Albert ten sam hymn, widząc wszędzie odblaski Piękna Bożego. Pozostał wiernym Bogu i sobie aż do ostatniej chwili, kochając Boga jako artysta, a tylko z biegiem czasu przesunęła się dominanta jego życia, bo chociaż zawsze pozostał wrażliwym na wszelkie piękno, to jednak nadeszła chwila, kiedy szukał piękna przedewszystkiem w duszy nędzarza, okrytego łachmanem. Wieczorami w schronisku przy ul. Krakowskiej na polecenie Brata Alberta będzie grał nędzarzom na skrzypcach jeden z młodszych braci, by od rozbudzonego w duszy piękna rozpoczął się powrót do Boga.

Kochał Brat Albert piękno i życie, wszelkie życie, jak Poverello. Ilekroć chciał komuś sprawić wielką, szczerą radość, przynosił mu bochenek świeżo upieczonego chleba, widząc w chlebie symbol życia. Kochał życie i stał na jego straży, chroniąc przed zagładą nawet zawieszonego pająka. To też nic dziwnego, że z pośród malarzy tak wysoko cenił Böklina, gdyż nikt jak on nie sięgnął tak głęboko do tajni życia.

Miłość piękna i życia łączyła się w jednem ognisku z tą miłością, co w mistycznem doznaniu odczuwa bezpośrednio obecność Boga. Ta bezpośredniość w przejawach głębokiego życia religijnego wyjaśnia tajemnicę, dlaczego do Kuźnic, do jego domku zarosłego smrekami pielgrzymowali i artyści i uczeni, i uczuciowcy i racjonaliści, i Stanisław Witkiewicz i J. Baudouin de Courtenay.

Miłość Boga poprzez piękno duszy nędzarza zażądała od niego ofiary, zażądała przesunięcia dominanty w życiu, zażądała wyrzeczenia się tego co ludzi dzieli, by już odtąd w bronzowym habicie tercjarza mógł przemawiać znowu bezpośrednio jak biedny do biednych. To też w Zakopanem na ścianach parafjalnego kościoła, pod tęczą barw wykwitłą z ośmiu Chrystusowych błogosławieństw, znalazły się obok siebie na kolanach dwie postacie na dowód, że błogosławieni są także ubodzy duchem. Wielki budowniczy Zakopanego Wład. Zamojski i wielki polski artysta malarz Adam Chmielowski będą odtąd w tęczy nadziemskiego nimbu wiecznie mówili do współczesnego człowieka, że w tęczach stają ci, co po Bożemu umieli ukochać piękno, własną ziemię i każdego człowieka, nawet tego, co chodzi w łachmanach.

Na zakończenie podniosłego zebrania zgłoszony został wniosek Ks. prof. H. Weryńskiego, domagający się, aby Towarzystwo Miłośników Krakowa wystąpiło do Zarządu Miejskiego z prośbą o przyspieszenie nazwania jednej z ulic Krakowa imieniem Brata Alberta. Wniosek ten wśród gorących oklasków przyjęto.

(Ilustrowany Kurjer Codzienny Nr. 101, z dnia 11 kwietnia 1935).

Z ruchu albertyńskiego.

Zaszczytne odwiedziny J. E. Ks. Kardynała Kakowskiego w zakładzie warszawskim

Jeszcze dobrze nie przebrzmiało echo wielkich dni odwiedzin Pana Prezydenta Rzpltej Prof. Ignacego Mościckiego i pamiętnej akademji ku czci Brata Alberta, pierwszej na terenie stolicy, aż oto znowu zakład warszawski dostąpił niezwykłego zaszczytu. W dniu 10 marca zawitał w skromne progi albertyńskiego zakładu J. E. Ks. Kardynał A. Kakowski, który spędził z wychowankami kilka miłych chwil.

Rano Jego Eminencja odprawił Mszę św. w kaplicy zakładowej i przemówił do licznie zebranej, bo blisko około tysiąca osób-publiczności na temat życia Brata Alberta i jego dzieła. Prześliczne to kazanie wywarło na pobożnych słuchaczach niezwykłe wrażenie i było dowodem Jego niezwykle wielkiej ojcowskiej miłości dla biedy ludzkiej i nieszczęścia bliźniego.

Po nabożeństwie i błogosławieństwie arcypasterskiem Ks. Kardynał zwiedził cały — na ten dzień pięknie udekorowany — zakład i zainteresował się nawet najmniejszemi szczegółami, wypytując o każdą rzecz towarzyszącego mu Br. Przeł. Anioła. Następnie spożył Ks. Kardynał skromne śniadanie, wpisał się do księgi pamiątkowej i przeszedł do świetlicy zakładowej, gdzie przysłuchiwał się dłuższy czas koncertowi orkiestry zakładowej, która wzmocniona kilku byłymi wychowankami z artyzmem i odczuciem wykonała szereg utworów muzycznych.

Pobyt J. E. Kardynała Kakowskiego pozostanie na długo w pamięci wychowanków i tych wszystkich, którzy byli świadkami tej wielkiej chwili.

Sprawozdanie Schroniska im. Brata Alberta w Krakowie.

Poniżej zamieszczamy kilka cyfr, które ilustrują działalność przytuliska Brata Alberta w Krakowie ul. Krakowska 43 za czas od 1 stycznia do 31 grudnia 1934 r.

Korzystało ze Schroniska w ciągu roku .	1375	mężczyzn
„ dziennie w miesiącach zim. . .	280	„
„ „ „ letnich .	230	„
Udzielono noclegów w ciągu roku . . .	85.543	noclegów
Zajętych robotą dziennie w mies. zimowych .	78	mężczyzn
„ „ „ „ letnich .	65	„
Odwieziono do szpitala	12	„
Zmarło w Schronisku	15	„
Zmarło w szpitalach	3	„
Przywieziono przez Pogotowie Ratunkowe do Schron.	3	„
Wydano strawy	185.772	„
„ bielizny	98	par
„ obuwia	23	„
„ ubrań i palt	33	„

PRO MEMORIA.

Dziwna własność*).

Na wspaniały bankiet artystyczny został zaproszony Brat Albert. — Cały świat intelektualny był mocno zaciekawiony tą niezwykłą osobistością, a towarzystwo jego ceniono sobie, jako wielki zaszczyt. Przypadek zrządził, że obok tego wielkiego ojca ubogich, siedziała sławna artystka X. — osoba nawskróś świecka. I otóż dziwny wypadek: — Na jedwabnej sukni artystki pojawiła się biała wsza. Brat Albert wkrótce to zauważył, przerwał ożywioną rozmowę, wziął wszę ze wspaniałej sukni artystki, mówiąc:

— To nie jest własność pani — to do mnie należy — i wszę położył na swoim habicie szarym, do którego tak często przygarniał z franciszkańską miłością ludzi najbiedniejszych.

Wrażenie było olbrzymie; cała elita artystyczna czuła, że obcuje z człowiekiem świętym. *Stanisław Mroziński.*

Z pożółkłych kart.

W *Przewodniku Higjenicznym*, organie Towarzystwa Opieki Zdrowia w nr. 4 z dnia 28 kwietnia 1891 r. na stronie 120 czytamy między innemi:

. . . Jak w pierwszym roku istnienia Towarzystwa, tak i w r. zeszłym urządził Wydział szereg odczytów z zakresu higjeny. Mówili p. p. Dr. Bossowski, Dr. Jordan, Dr. Cybulski, Dr. Browicz i Brat Albert, — który w gorących słowach związek ubóstwa z chorobą przedstawił; odczyty te ściągły dość liczną publiczność do sali Rady miejskiej i znalazły ogólne uznanie . . .

Należy dodać, że redaktorem *Przewodnika Higjenicznego* był dr. H. Jordan, przyjaciel Brata Alberta, który jest również autorem tej wzmianki.

Z odczytów o Bracie Albercie.

Mieszkańcy Olkusza i okolic mieli sposobność zapoznać się z wielką postacią Brata Alberta dzięki odczytowi, który w dniu 31 marca wygłosiła w tem mieście P. Michalina Janoszanka, artystka-malarka i literatka z Krakowa.

Na fundusz beatyfikacyjny Brata Alberta

złożyli: Ks. Prof. Krzeptowski z Chrzanowa 10 zł., ks. K. Korczak z Klikaszowej p. Nowy Targ 18 zł., Br. Przełoż. Anioł z Warszawy 10 zł.

Bóg zapłać.

Podziękowanie.

Bratu Albertowi za pomoc w beznadziejnie trudnej sprawie uzyskania moratorjum mieszkaniowego, którą wyrokiem Sądu Cywilnego w Krakowie z dnia 13 kwietnia 1935 załatwił dla mnie pomyślnie składam publiczne podziękowanie i skromną ofiarę.

Borodzicz Ludwik, Kraków, ul. Czarnowiejska 62

---

*) Słyszałem u państwa Radkiewiczów, Zakopane, willa „Polesie".

BRATNI ZNAK
Pismo dla młodzieży zakładów wychow. br. br. Albertynów.

Bezpłatny dodatek do Nr. 3 „NASZEJ MYŚLI" z maja 1935 r.

Józef Korzeniowski.

Czeladzkie wyzwoliny.

W onym czasie starszym zgromadzenia stolarskiego był reputowany i majętny majster Drylius, urodzony i wychowany w Warszawie i mający tu po ojcu zostawiony obszerny i zamożny warsztat. Był to już człowiek stary, z białą głową, rozumny, ale zapominający się, trochę pedant i lubiący pererować do chłopców, którzy się wpisywali, i do terminatorów, którzy na czeladników wychodzili...

Gdy pan Hebel z Ignasiem Zabużskim weszli do sali, już sesja była zaczęta. Starszy, podstarszy, komisarz municypalny i dwaj majstrowie delegowani siedzieli z powagą na swych miejscach, przed stołem stał terminator, otrzymujący wyzwolenie *Lehrbrief*)* i książeczkę, a pan Drylius do niego mówił:

— Na mocy tedy 46 Postanowienia...

— 49-go, pan starszy — podszepnęli podstarszy i komisarz municypalny — 46-ty jest o chorobie ucznia.

— A! prawda. O chorobie ucznia — mówił Drylius, zamyśliwszy się trochę. — Otóż na mocy 49 Postanowienia z r. 1816, ponieważ przez chorobę za wiele utraciłeś czasu zdaniem jest urzędu starszych, abyś się jeszcze douczył.

— Ależ, pan Drylius — rzekł mu — nachylając się z uśmiechem, komisarz — on był zdrów, odpowiedział wszystkim warunkom 49-go, okazał sztukę czeladniczą i ma list wyzwolenia, tylko niech złoży 20 zł. polskich do skrzyni i z ojcowskim napomnieniem pana starszego niech idzie z Bogiem.

— A prawda, prawda. Trzeba go napomnieć — mówił starzec, uśmiechnąwszy się, i dopiero zaczął ułożoną przez siebie perorę, gdzie były wycytowane główne artykuły Postanowienia, gdzie upominał, żeby się nigdy w żadne biesiady i traktamenta nie wdawał, żeby poniedziałków nie świętował, żeby po gospodach nie chodził, żeby pieniądze wzięte zgóry, pilnie odrabiał. Gdy przyszło do strony moralnej dającej się nauki, stary trafnie i dotykalnie rozbierał dziesięć przykazań Bożych, a szczególniej dziewiąte i dziesiąte które bronią pożądać żony bliźniego i tego, co cudze. Przy końcu dodał:

— No, teraz pocałuj znak Męki Pańskiej i, gdyś już zapisany w księgę Zgromadzenia i masz swój *Lehrbrief*, opatrzony podpisem i pieczę-

*) Świadectwo czeladzkie

cią urzędu, idź z Bogiem i pamiętaj, że gdziekolwiek będziesz, czy tu, czy gdzie indziej, żebyś nie zrobił wstydu majstrowi, który cię uczył, i urzędowi starszych, który cię wyzwolił. Wędrówka ci się przyda, nawet jesteś do niej obowiązany, pierwsze jednak lata siedź jeszcze tu i pracuj w naszych warsztatach, abyś nabył doskonałości, z którą będziesz mógł popisać się zagranicą.

Te wyrazy: wędrówka i zagranica, odwiodły jego myśl od rzeczy, o którą szło, tak iż mu się zdaje, że przed nim stoi jakiś wędrowny czeladnik, z których każdy, na mocy 68 i 69 itd. oddziału III-go, winien się stawić w Urzędzie starszych. Zaczął go więc wypytywać, skąd i jak dawno przybył, czy ma *Kundschaft,* to jest świadectwo roboty, czy już posyłał szafarza z gospody, i czy się szykowanie majstra, u którego robił, odbyło.

Gdy się wszyscy uśmiechnęli i komisarz ostrzegł go, że to tutejszy wyzwoleniec, a nie przybyły skąd inąd robotnik, stary uśmiechnął się także, machnął ręką i rzekł:

— Gdzie moja głowa? Tak to zawsze, kiedy kto ma kłopot w domu. No, idź już z Bogiem, kochanku! — dodał, obracając się do nowego czeladnika, który pokłonił się z pokorą starszym, pocałował podany sobie krzyż i odszedł uradowany...

Gdy wszyscy uczniowie zostali zapisani i opłaty do skrzynki rzemieślniczej po złotych polskich sześć od każdego złożone, starszy Zgromadzenia, odchrząknąwszy, zaczął z uśmiechem perorę, którą już zapewne kilkanaście razy wygłaszał. Gdy sam spostrzegł, że wszystkich znudził, i sam się już zmęczył, obrócił się do komisarza i zapytał go naiwnie:

— A co panie komisarzu, może już będzie tego dosyć?

— Oj! będzie, będzie, panie starszy — odpowiedział urzędnik, powstając i wyciągając się nieznacznie. — Mam jeszcze jedną czynność, na którą muszę pospieszyć.

— Zaraz więc skończymy — rzekł stary, i obracając się do malców, zapytał: — Cóż, zrozumieliście, co ja wam tu mówiłem?

— Zrozumieliśmy, proszę pana starszego — odpowiedzieli malcy chórem.

— A o czemże ja mówiłem? Ty powiedz — mówił dalej, ukazując na jednego czarnookiego chłopaka, z zarosłym gęsto łbem i z dołkami na czerwonych policzkach.

— O domu niewoli, proszę pana starszego — odpowiedział mały.

— A cóż to jest dom niewoli? — pytał starszy, uśmiechając się.

— Kiedy palce z butów wyłażą łokcie z koszuli i kiedy się jeść bardzo chce, a niema za co kupić obwarzanka — odpowiedział chłopak.

— A kiedyż to człowiek wychodzi z domu niewoli? — pytał Drylius.

— Kiedy ma codzień sztukę mięsa z kwiatkiem, kufelek piwa, a potem własną kamienicę — mówił chłopak.

— A któż to daje człowiekowi to wszystko?

— Pan Bóg, który go wyprowadza z domu niewoli,

— A jakiegoż Pan Bóg wyprowadza z domu niewoli? — spytał starszy.

— Takiego, co sam chce z niej wyjść, pracuje od rana do nocy, choćby w poniedziałek, szanuje i słucha starszych, nigdy nie kłamie, jak co złego zrobi, to się przyzna i nie zwala na drugich, a jak go po co posyłają, a wyda dziesięc groszy, to nie mówi, że wydał piętnaście.

— No, dobrze, — rzekł starszy ucieszony — chodź-że tu teraz, przeżegnaj się, pocałuj Zbawiciela i proś Go codzień, żeby ci dopomógł, a będziesz miał kamienicę.

Malec przeżegnał się, pocałował krzyż, potem rękę starego, który go pogłaskał. To samo zrobili inni malcy... Tak się skończyła sesja w Urzędzie starszych.

(Wyjątek z powieści „Krewni")

Patron Zakładu krakowskiego

(13 czerwca)

SI QUAERIS MIRACULA.

(Responsorium św. Bonawentury na cześć św Antoniego).

Si quaeris, miracula,
Mors, error, calamitas,
Daemon, lepra fugiunt
Aegri surgunt sani.
Caedunt mare. vincula,
Membra, resque perditas
Petunt et accipiunt
Juvenes et cani.
Perunt pericula,
Cessat et necessitas,
Narrent hi, qui sentiunt
Dicant Paduani
Cedunt mare...
Gloria Patri et Filio et Spiritui
Sancto. Amen.



Mal. Ks. Dmochowski.

Obraz znajdujący się w ołtarzu kaplicy zakładowej na Zwierzyńcu.

STEF.

Z majów mego życia pamiętam jeden. Ten był dawno, bo od niego dziewięć już innych przesunęło się na taśmie filmu mego życia, ale ten właśnie pamiętam, bo był pierwszy w zakładzie.

Raz, a było to oczywiście — w majowy wieczór, po skwarnym dniu, gdy ja i Stef rozkoszowaliśmy się orzeźwiającym chłodem łagodnego zefiru. Chłopcy uganiali za brzęczącemi chrabąszczami, a ja i on siedzieliśmy na kamiennych schodkach. Przytuleni do siebie, dumaliśmy i marzyli

o przyszłości. Nie wiem co można innego robić w takiej nastrojowej porze i w takim wieku. Stef miał lat piętnaście, a ja dwa mniej.

Z norbertańskiego klasztoru wysypał się tłum ludzi z majowego nabożeństwa i przechodząc wiaduktem mostu nad Rudawą, z przyzwyczajenia rzucał okiem na zakład albertów, gdzie na frontowej ścianie jaśniał kilkunastu lampkami oświetlony obraz Matki Bożej. Zazdroszcząc innym i tym ludziom swobody, spoglądaliśmy w niebo, iskrzące się podobno miljardem gwiazd. Stef marzył kiedy na swojej maszynie wyleci na pierwszy lot po podniebnym szlaku, a ja upatrywałem tam „gwiazdy morskiej"; chciałem być marynarzem. Chciałem nosić szerokie spodnie, mieć odkrytą i wytatuowaną pierś, oraz czapkę z napisem: „Marynarka Wojenna", a na rękawie przyszytego żbika, rysia, czy inne drapieżne zwierzę, mające odpowiednika w naszej flocie wojennej.

Dokładnie pamiętam ten wieczór. Tam i zpowrotem szybko spacerowała grupka starszych i niecierpliwie popychała maluchów, a na balkonie niekształtna, ciemna masa przykucnęła na niskiej ławeczce. Czasem dolatywały stamtąd znajome głosy braci, lub serdeczny śmiech brata przełożonego. Nam samym było dobrze na schodkach, nikt nam nie przeszkadzał. Dziś jeszcze czuję błogość tego majowego wieczoru, w której zapamiętale nurzały się nasze młode serca.

Cóż, kiedy Stef zaczął powoli zginać rękę, i ja czułem, jak mu pod kichą rekawa rosło coraz większe wrzeciono mięśni. Był muskularny, silny, a ja mogłem zginać ręce w różne sposoby i zawsze zamiast mięśni wyskakiwała nieznaczna kulka jakiejś galarety. Wtedy stawałem się wściekły spowodu własnej niemocy i spowodu Stefa, bo wiedziałem, że robi to naumyślnie, by mnie pozłościć. Bywało także, że on przyszły lotnik, uczył pływać mnie, marynarza. Podczas gdy ja nie mogłem w żaden sposób uporać się z mętnawo - letniemi falami Wisły, on szeroką piersią sunął cravla. Czasem rzucił jaką uwagę, ale najczęściej śmiał się ironicznie, jak on tylko umiał. Wtedy miałem mojego kochanego Stefa dość. Tak było i teraz.

— Słuchaj Stef — powiedziałem do niego — jak się chcesz ze mną gniewać, to oddaj mi tą śmigę, com dostał w szkole za farbki, a ja jutro zabiorę swoje rzeczy z twojego nakastlika i oddam ci od niego klucz...

Zgodził się na to, i już na głos dzwonka nie przeganialiśmy się razem po schodach, w kaplicy klęczeli zdala od siebie, w sypialni spaliśmy odwróceni do siebie, bo łóżka nasze znajdowały się w sąsiedztwie. Gniewaliśmy się.

Nazajutrz był piękny — jak każdy zresztą majowy — dzień. Zmęczony pięciogodziną nauką w szkole, wchodziłem z radością do furtki, ale pech chciał, że trafiłem na Stefa. Postanowiłem go wyminąć, ale jakby już czekał na mnie, przyskoczył nagle i jakby nigdy nic szeptał mi do ucha:

— Romku, polski hydroplan „Latham" stoi na Wiśle koło A.Z.S.-u. Takici ma ogon do góry zakręcony. Mówię ci śliczny, piękny, cudowny... — recytował jednym tchem.

— Dobra jest, Stef. Wieczorem wiejemy zaraz po dzwonku — powiedziałem do niego i starałem się uwolnić rękę z jego stalowego uścisku.

— Byczy z ciebie chłop i pływasz prawie tak jak ja, tylko nie chciałem ci o tem mówić — rzucił mi na ostatek i znikł w drzwiach pracowni.

Wieczorem czekałem na niego. Gdy nikt na nas nie zwracał uwagi, podsadził mnie na mur, sam się wydrapał... skok — i byliśmy już z tamtej strony kordonu. Ostrożnie, by się nie „zeksnąć", chyłkiem biegliśmy wzdłuż wału Wisły. Serce nam biło ze wzruszenia, a tchu w piersiach brakowało.

Wreszcie jest... W maleńkiej zatoce obok komisarjatu rzecznego, uwięziony na kotwicy, kołysał się wodnopłatowiec „Latham". Wyglądał jak kaczka, ale Stef był zachwycony i obchodził go ze wszystkich stron. Zatrzymał się przy samochodzie z pułku lotniczego, który przywiózł benzynę i smary, by podsłuchać o czem lotnicy mogą mówić. Z boku stało dwóch zasmarowanych oficerów w lotniczych kombinezonach i rozmawiało z jakimś cywilem.

Właśnie zapuszczano na próbę śmigło, gdy jeden z prawdziwych lotników zbliżył się do nas i zagadnął:

— Cóż chłopaczki powiecie? Chcielibyście polecieć z nami?

Ja, bo nie mogłem zdobyć się na odpowiedź, a Stef również.

— No, a który z was pobiegnie kupić mi papierosów?

Obaj pobiegliśmy. W kiosku jakiś starszy inwalida na naszą prośbę podzielił papierosy na dwie części, bo każdy chciał przysłużyć się choć w małej rzeczy polskiemu pilotowi. Mała to rzecz, a nam się wtedy wydawało, że od tych papierosów trzymanych w ręce los jutrzejszego lotu nad Bałtyk zależy. Z miną strasznie dumną, na oczach licznego tłumu gapiów wręczyliśmy kupione papierosy. Pilot „Lathama" uśmiechem nam podziękował i już miał odejść, ale widząc nas wpatrzonych w niego, coś pomyślał i robiąc wymowny gest w stronę kieszeni, powiedział:

— A, prawda; należy wam się za drogę. Zapomniałem.

— Nie nic nam się nie należy i nic nie weźmiemy. My tylko bardzo prosimy pozdrowić od nas morze i Gdańsk (o Gdyni jeszcze się nie mówiło) — odpowiedziałem za nas obu rozczerwienionych do ostatecznych granic możliwości.

— Zgoda — odparł wesoło i podniósł Stefa wysoko w górę, ot tak sobie dla przyjemności.

Już nawet nie uważaliśmy przy powrocie, czy nasza ucieczka się wykryje, bo myśmy, to znaczy ja i Stef rozmawiali z prawdziwymi polskimi lotnikami.

— — — — — — — — — — — —

O świcie; nad Wisłą, otuloną jeszcze ranną mgłą - zawarczał donośny huk śmigła i po lustrzanej toni, prześlizgnął się w okamgnieniu „Latham". Gdzieś za Norbertankami poderwał się w górę, zawrócił kołem ponad nami i poleciał nad Skały Twardowskiego.

Z małego okienka pod strychem śledziły jego lot dwie małe główki: Stef i ja... Tamci wieźli nasze pozdrowienie dla Bałtyku. Wierzyliśmy, że o niem nie zapomną.

W dziesięć lat później znalazłem się nad polskim Bałtykiem. Na pełnem morzu lśnił w słońcu i przykuwał mój wzrok wspaniały „Dar Po'morza". Na zwykłej łódce popłynąłem do tej nieziemskiej prawie zjawy-

a nade mną niby flotylla honorowa, szybowało stado żarłocznych mew. Po drabince sznurowej i zwykłej dostałem się na pokład. Byłem zachwycony tym cudem polskiej żeglugi.

Na polskim statku szkolnym marynarki handlowej doszło mię wspomnienie dawnego, zakładowego kolegi. Spotkałem marynarza, który ze Stefem służył w marynarce wojennej na „Wichrze". Opowiadał mi jego dalsze dzieje. Podczas manewrów wojskowych naszej floty zatonął z nieznanych bliżej powodów w falach Bałtyku. Prawdopodobnie przy ratowaniu tonącego towarzysza. On, co chciał latać jak ptak w przestworzach, znalazł wczesny grób w nurtach polskiego morza, a ja jako szczur lądowy na pokładzie polskiego statku wspomniałem sobie pamiętną chwilę majowego wieczoru i... Stefa.

Włafig.

O „Bratni Znak".

W dawnych czasach, kiedy nasi praojcowie wybierali się na wojnę, to czynili to w taki mniejwięcej sposób. Rozsyłali wici na wszystkie strony i zbierali się potem w oznaczonym miejscu i czasie. Tutaj każdy odszukiwał swoich braci, krewnych, a dopomagały mu w tem znaki lub zawołania rodowe. Zwykle na wysokiej żerdzi widniał zdaleka umieszczony znak danego rodu i koło niego gromadzili się jego członkowie, którzy podobne, ale mniejsze znaki nosili na tarczach i broni. Przynależność rodowa czyniła z tych luźnych i przez to słabych wojowników organizację bojową, zdolną do działań i podporządkowaną władzy naczelnika rodu.

Podobnie dzieje się i dzisiaj. Wprawdzie już nie związek krwi, ale wspólnota interesów, czy przynależność ideowa każe się łączyć ludziom w zrzeszenia, związki, organizacje takie czy inne. Sztandar i hasło zastępuje tu dawny znak rodowy czy zawołanie. Owe zaś mniejsze znaki, które dawniej widniały na tarczach dziś znajdujemy na piersiach, przymocowane do klap ubrania.

A jak jest z nami? — Myślę o tych, którzy wyszli z jednego gniazda, którzy wychowali się w zakładach albertyńskich, którzy przez dźwiganie wspólnego losu, pożycie pod jednym dachem, złączeni zostali węzłami — powiedzmy nawet braterskiej miłości. W ostatnich czasach widzieliśmy, jak zwoływali się wzajemnie i łączyli w grupy większe — koła byłych wychowanków albertyńskich. Czy mamy się gdzie

gromadzić i czy mamy wspólny znak rodowy? — Naszym znakiem i dla wielu innych ludzi widocznym jest, a względnie powinien być dwumiesięcznik „Nasza Myśl". Wobec tego brak nam tylko tych mniejszych odznak naszej przynależności, ale o nich pomyśleli już b. wychowankowie z Krakowa, którzy na tegorocznem walnem zebraniu postanowili przystąpić do stworzenia odznaki, nazwanej przez nich „bratnim znakiem". Otóż według projektu bratni znak nie będzie zwykłą odznaką, ale pewnego rodzaju odznaczeniem dla tych wychowanków, którzy swem wzorowem zachowaniem w zakładzie na wyróżnienie zasłużyli, albo po jego opuszczeniu wysoko sobie cenili honor zakładu i sława macierzystego zakładu z ich powodu nigdy na niebezpieczeństwo nie była narażona. O przyznaniu odznaki decyduje kapituła bratniego znaku, w skład której wchodzą Bracia-wychowawcy i delegaci b. wychowanków.

Sprawa szczegółowego wyglądu odznaki nie jest jeszcze rozstrzygnięta, ale prawdopodobnie będzie to symbol lub stylizowane zestawienie inicjałów dosadnie wyrażające życie zakładowe, jego wspólnotę lub cel organizacji b. wychowanków. Dla przykładu podajemy projekt: ul z literą A jako daszkiem lub trójlistek koniczyny.

Czem wreszcie będzie odznaka? — Odpowiedź krótka: będzie bratnim znakiem, będzie świadczyć o naszem poczuciu solidarności koleżeńskiej, a również powinna nam przypominać, że nie wszystko co mamy i czem jesteśmy, zawdzięczamy własnej pracy. Wreszcie ludzie mówią, że góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem może, a gdy się zejdzie dwóch b. wychowanków a spostrzegą u siebie bratnią odznakę, to napewno nie przejdą koło siebie obojętni, i jak dawniej nieznani.

Spodziewamy się, że projekt Bratniego Znaku znajdzie u wszystkich wychowanków albertyńskich należne uznanie i wywoła odpowiednie zainteresowanie. Dla lepszego rozpatrzenia i omówienia powyższego projektu najchętniej użyczymy miejsca na łamach naszego pisemka.

Orski.

Z kroniki krakowskiego Zakładu.

19 marca b. r. jako w dniu uroczystego obchodu Imienin P. Marszałka Józefa Piłsudzkiego, zakład nasz urządził siłami wychowanków *uroczystą akademję*, p. t. „Wodzowi Narodu w hołdzie".

1. *Przemówienie* wygłosił p. dyr. R. Hajnos. Mówca nawiązując do osobistych wspomnień z czasów walk o niepodległość wskazał i dobitnie podkreślił rolę i znaczenie Dostojnego Solenizanta, jako budowniczego Polski i twórcy naszego bytu państwowego.

2. *„Wodzowi Narodu w hołdzie" obraz sceniczny* w 2 aktach przez Raorta odegrali wychowankowie pod kierownictwem Br. Viatora. Nadzwyczaj stosowna do chwili sztuka uwolniła wieczór od szablonowych deklamacyj, wierszyków a dała słuchaczom dużo emocji i wywarła duże wrażenie.

3. *Śpiewem pieśni legjonowych* przy otwartej kurtynie i *koncertem orkiestry* zakończono miłą uroczystość, którą obecnością swą zaszczycili *p. dr. Hischtin i p. Sekr. Limanowski* z ramienia Wydz. O. S. Zarządu Miej.

Audycja radjowa była miłym finałem radosnego dnia.

Niezależnie od tego, w dniu 21 marca uczniowie zakładowej szkoły dokszt. byli obecni w kinie „Swit" na programie: *„Sztandar wolności"*. a orkiestra wzięła udział w *capstrzyku* przed ratuszem i w *koncercie popularnym* na wyznaczonym jej miejscu przez główny Komitet t.j. w corsie przed gmachem Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W dniu 17 marca odbyło się *doroczne zebranie K. S. Salvator* z wyborami nowych władz. Prezesem w dalszym ciągu wybrany został Radwan Józef.

W czasie okresu wielkopostnego w każdą niedzielą wychowankowie brali udział w *Gorzkich Żalach*, podczas których nauki wygłaszał ks. dr. Bober.

Okres wczesno-wiosenny wykorzystano na urządzenie kilku pięknych *wycieczek* do pamiątkowych miejsc Krakowa, — a mianowicie zwiedzono: *Zamek wawelski, Katedrę, Muzeum Narodowe i Podziemia O.O. Reformatów.*

Przez trzy niedziele odbyły się *pielgrzymki* do kościołów krakowskich: Katedry na Wawelu, Najśw. Marji Panny, św. Anny i św. Piotra w celu uzyskania odpustu jubileuszowego.

14, 15 i 16 marca odbyły się *rekolekcje wielkopostne* w zakładzie, w czasie który konferencje wygłosił ks. dr. Piotr Bober.

Miły dar.

P. Inżynierowa Sysko z Krakowa ofiarowała dla zakładu cztery kolorowe papużki z olbrzymią klatką oraz patefon elektryczny z dużą ilością płyt. Za pamięć i wielkie Jej serce dziękują szczerze wdzięczni wychowankowie zakładu zwierzynieckiego.

Ś. p. Ks. Roman Stojanowski.

Dnia 26 marca b.r. zmarł w Krakowie w szpitalu O.O. Bonifratrów po krótkiej chorobie ś.p. Ks. Roman Stojanowski, proboszcz w Skawinie. Wiadomość o śmierci tego duszpasterza odbiła się smutnem echem również i w Zgromadzeniu Br. Br. Albertynów.

Jako syn zamożnych mieszczan, wychowując się wśród miasta, patrzał od lat dziecinnych na nędzę wielkomiejską, toteż poznawszy bliżej ideę Brata Alberta, zbliżył się do naszego Zgromadzenia i często nietylko światłą radą ale i czynem wspierał zakłady albertyńskie dla bezdomnych i opuszczonych chłopców, a czynił to zawsze z głębokiego przekonania, uważając nie za jakiś gest, ale odruch serca wrażliwego na nędzę bezdomnej młodzieży.

Ś. p. Matka Fryderyka Szeligiewicz.

Ksieni Konwentu P.P. Norbertanek w Krakowie na Zwierzyńcu.

W dniu 3 kwietna b.r. odprowadzono przy licznym udziale duchowieństwa, niezliczonym tłumie ludu zwierzynieckiego i delegacyj włościan na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki ogólnie czczonej i znanej ś.p Matki Fryderyki Szeligiewicz, ksieni klasztoru zwierzynieckiego P.P. Norbertanek w Krakowie.

Była to postać wybitnie indywidualna. Po wstąpieniu we wczesnej młodości do klasztoru PP. Norbertanek na Zwierzyńcu, po kilku latach życia zakonnego obejmuje stanowisko nauczycielki, a następnie prefekturę pensjonatu i szkoły klasztornej.

W kilka lat potem zakonne władze powołują następnie ś. p. Matkę Fryderykę na odpowiedzialne stanowisko przeoryszy w konwencie, na którem to stanowisku pozostaje przez lat 15, a w końcu po śmierci ksieni ś. p. Norberty Zajączek jednomyślną wolą całego konwentu, zostaje obdarzona najwyższą godnością ksieni klasztoru Zwierzynieckiego. — Z poświęceniem i zaparciem się siebie, pomimo lat 68 spełnia swój wysoki urząd, oddana z całą młodzieńczą energją pracy nad całokształtem spraw zakonnych i klasztoru. Nie zasklepia się przytem wśród obowiązków w murach klasztornych; bystry Jej umysł i czułość serca na ubóstwo i ciężkie położenie zwłaszcza młodzieży wiejskiej powoduje, że w czasie ogólnego kryzysu społecznego zakłada ochronkę dla dzieci chłopskich w Luboczy, roztacza nad nią osobistą opiekę, troszczy się i wspomaga finansowo ochronki S.S. Służebniczek w Zabierzowie, oraz S.S. Serafitek na Zwierzyńcu.

Również i nasze Zgromadzenie ma ś.p. Matce Ksieni Fryderyce wiele do zawdzięczenia. Odnosząc się z głęboką czcią do dzieła Brata Alberta, interesuje się ze szczególną życzliwością jego rozwojem, oraz Zakładami dla sierot, spiesząc nierzadko z pomocą materjalną.

To też Bóg błogosławił Jej pracy, pozwolił doczekać złotych godów zakonnych; był to ostatni dzień, w którym padł promień słoneczny radości na Jej duszę jakby podzięka za Jej trudy, poświęcenie i wytrwałość. Wyczerpany organizm sędziwym wiekiem, nadludzką pracą, skołatany obowiązkami odmawiał posłuszeństwa i wreszcie złożył na łoże boleści z którego już więcej nie powstała.

ŚMIERĆ NOWICJUSZA. W marcu b. r. zmarł w domu nowicjackim w Przemyślu ś. p. Brat Rafał nowicjusz.

Opłata pocztowa
uiszczona ryczałtem.

Adres zwrotny: „Nasza Myśl"
Kraków, ul. Tad. Kościuszki 86.